

AR-570.040-57

"מסואה" תל-יפו		
ארכיון		
ע	/	57 / 4
חטיבה	תיק	מיכל
מציג: 442		
מחשב: 5528		

גספר - ב.3, ס. אורקמב
 3, קורב, און, ספרים אן פוטו
 1948



Leon Cukierberg

**CIEŃ
TORQUEMADY**

MASSUAH

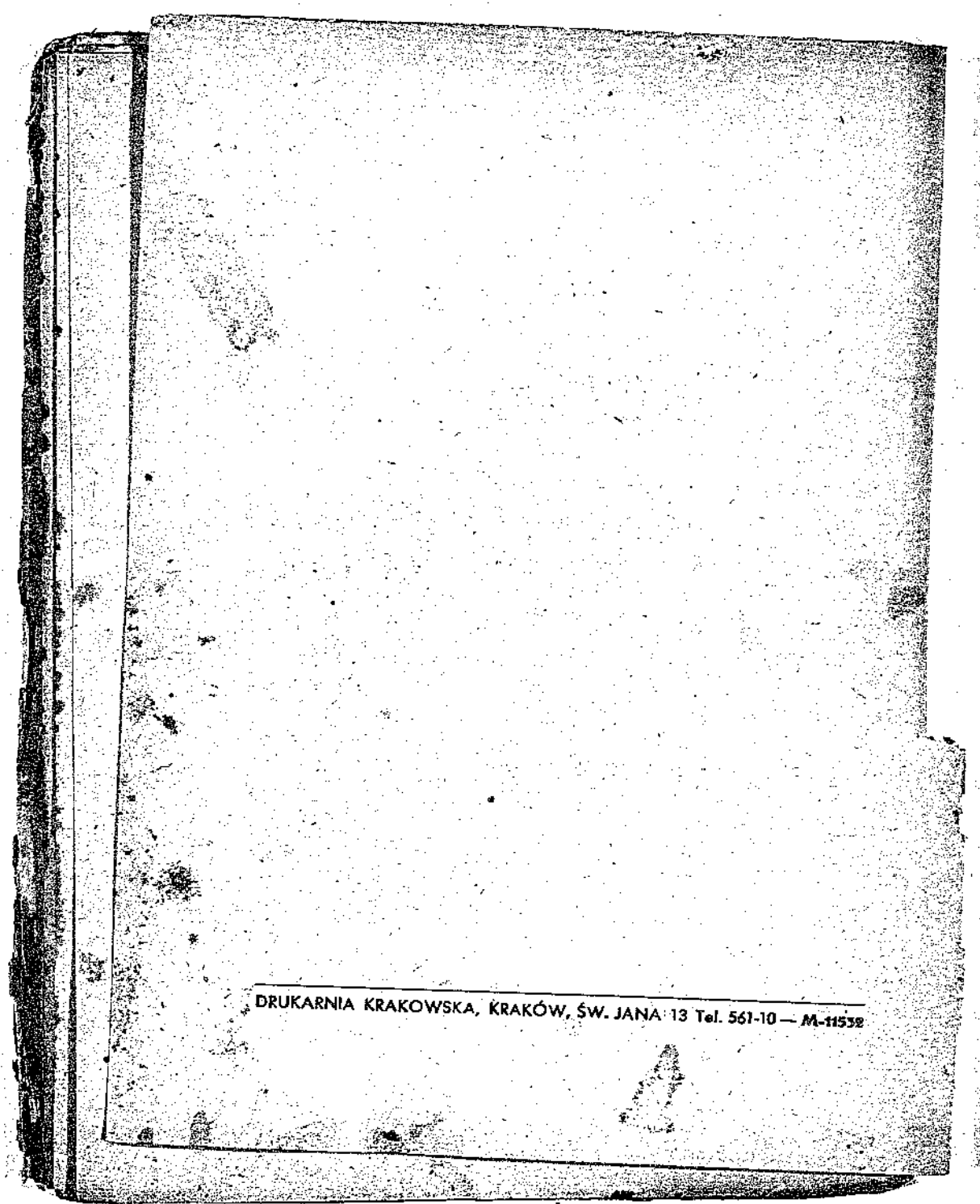


LEON CUKIERBERG

**CIEN'
TORQUEMADY**

KRAKÓW 1946

KSIEGARNIA Powszechna



DRUKARNIA KRAKOWSKA, KRAKÓW, ŚW. JANA 13 Tel. 561-10 — M-11532

Latarnik

Starzy, siwy mężczyzna, który razem z Michałem Sternbergiem szedł w jednej parze, na pewne ani przez chwilę nie wątpił, w to, że przedmiot rozważań jego towarzysza jest taki sam, jak wszystkich, którzy teraz długim sznurkiem dwójek podążali tak zwanym traktem wschodnim w górę, w kierunku Piotra i Pawła. A nie wesołe to były rozważania. Kilkudziesięciu ludzi schwytano po domach i ulicach; pięciu wyrostków z żółto-niebieskimi opaskami na lewym ramieniu prowadziło ich do roboty w koszarach SS, osławionych już z tego, że nie wszyscy, którzy tam wchodzili, wychodzili z życiem.

Były to pierwsze dni po zajęciu miasta. Czarna sotnia, upojona „samostijną” i „wільną” hulala po ulicach. Krwawy pogrom był jej dziełem; ona wyciągała ludzi z domów i urzędowała makabryczne pochody ofiar z zapalonymi świecami i portretami z minionych czasów, bijąc, lżąc i opluwając idących, którzy śpiewać przy tym musieli; oni, heroje, kazali dzieciom małym klękać obok trupów końskich, które rozrywane pociskami leżały jeszcze nieuprzątnięte na placach i ulicach i całować końskie zady, a później zabijali z naganów — zostawał trup ludzki na zwierzęcym w harmonii i zgodzie pośmiertnej — oni rządzili i trzęśli miastem przez kilkanaście dni pijanego snu.

Dozorcy, pilnujący długiego węża robotników, spełniali swoje obowiązki bez zarzutu: Popędzali, by szybciej iść, bijąc przytym stalowymi prętami i wyzywając w najokropniejszy sposób. Zwłaszcza jeden z nich brylował w „pracy”; z akuratańską dokładnością i precyzją spadała żelazna laska na plecy idących, szereg rozlatywał się, by ująć razem i skupiał się napowrót spędzany przez naganiaczy. Ludzie szli rozmaici: starzy i młodzi, zdrowi i tacy, co ledwie za sobą nogi ciągnęli. Mały grubasek, który toczył się na pałkowatych nogach w samym końcu szeregu, zwrócił odrazu na siebie uwagę nadzorców. Poszeptali coś między sobą i grubasek stał się odtąd

przez całą drogę ofiara najwymyślniejszych — według pojęcia młokosów — żartów. Rzucali nim jak piłką, odbijał się od jednego, dostając przytym obfite razy prętem, by wylądować w gościnnych ramionach drugiego wyrostka, później trzeciego, czwartego — i da capo. Cóż to była za uciecha dla gawiedzi, która towarzyszyła pochodowi już od rynku! Głośne śmiechy, krzyki, nawoływania uprzyjemniały drogę dozorcóm; kroczyli w glorii bohaterów, zachęceni do jeszcze innych, coraz wymyślniejszych pomysłów. Biedny grubasek nie miał już teraz chwili spokojnej. Kazali mu wziąć na ramiona chudego dryblasa z przedniej dwójki; mały spełnił rozkaz i postępując, kroczył powoli naprzód. Założnie patrzyły małe oczki, pot skraplał obficie czoło (lipiec!), zataczały się nogi, ale trudno, trzeba było iść.

Zbliżali się już powoli do koszar. Gniotący ciężar osiadał na pierś. Od kilku dni krążyły wieści o koszmarnych scenach przy pracy na Piotra i Pawła. Opowiadano, że praca jest niezwykle ciężka, katuszą przy niej, że niektórych zatrzymują i ślad po nich ginie. Z niewesołymi myślami szli ludzie, powoli lecz nieuchronnie dochodząc do celu wędrówki. Spoglądali po sobie trwożnie, jakby wyczekując rady od kogoś, czy pociechy.

— „Jak długo się tam pracuje?“ — Towarzysz Michała, a o tym ostatnim zaczęliśmy opowiadać, przerwał milczenie. Michał przewrócił głowę w prawo, zdając się teraz dopiero spostrzegać, że ktoś obok niego kroczy. W tej chwili zajęty był rozważaniami zgoła innej natury, więc odpowiedział tylko:

„nie wiem, ale to naprawdę nieistotne wobec ogromu cierpień ludzkości, wobec upodlenia ducha ludzkiego...“

Michał został obdarzony spojrzeniem, które wyrażało co najmniej zdziwienie z powodu takiego polotu myśli w ciężkiej chwili życiowej. Ale taki już był Michał Sternberg. To, co innym wydawało się szumną emfazą, było jego naturalnym wyrażaniem myśli. Michał wrósł w książki, w nich siedział duszą, z nich czerpał wiedzę i mądrość życia, książki były jego towarzyszami i przyjaciółmi. Był studentem uniwersytetu, ale mało kto znał niepozornego, wciągniętego w siebie, wiecznie zamyślnego studercinę. Wykładów „mól“ — jak go nazywali koledzy — nie opuszczał na wzór innych. Trzeba było widzieć, jak słuchał z otwartymi ustami, zapominając nieraz notować. Jego prace z zakresu językoznawstwa były cenione przez profesorów, często — gęsto grosz stypendialny kapnał do zawsze dziurawej kieszy studenta, ale o to Michał nie dbał. Było co zjeść — dobrze, nie było — grube foliały skryptów zastępowały kapuśniak i kartofle, stały menaż studenckiej garkuchni. Filozoficzny spokój nie opuszczał Michała nigdy. Zbyt nie przejmował się tym, że go

i „drewnianym“ i „papierowym“ człowieczyną nazywali, z żelazną wytrzymałością i energią robił swoje — uczył się — i tym żył. Wojna odcięła go od rodzinnego miasteczka, rodzice żyli gdzieś w zapadłym kącie Wołynia, i troska o najbliższych była jedyną chmurą na jasnym horyzoncie Michałowej duszy. Już w pierwszym tygodniu po wkroczeniu Niemców, głód zaczął być stałym towarzyszem życia, ale chudzina zacisnął tylko pas, nie narzekając. W ów dzień zastali go łapacze w domu. Czytał „Fausta“, to była jego odżywka w krwawy czas, i spokojnie poszedł za policjantem. I teraz, kiedy jedna para za drugą przekracza bramy koszar Michał Sternberg jest towarzyszem niedoli kilkudziesięciu ludzi, wchodzi wraz z nimi w podwórze.

Murowane zabudowania koszar na Piotra i Pawła ciągnęły się długim szeregiem, zajmując duży odcinek ulicy. Od ulicy patrzyły na przechodniów okna budynku mieszkalnego, jednakowe szare kwadraty szyb. Mur nosił ślady walk ulicznych z przed dwóch lat i bardziej jeszcze podkreślał ponury wygląd koszar. Podwórze zasypane wszelakimi gratami, śmieciem, odłamkami szkła, słomą, oddzielało właściwe koszary od innych zabudowań. Tam prowadzono robotników. Przed wielką szopą pochód zatrzymał się. Jeden z wyrostków przystąpił do oficera, który stał w pobliżu. Chciał się pochwalić znajomością języka, więc wyprężył się, jak struna i powiedział:

„Melde — Juden, Juden — arbeiten...“ — Jego zapas słów wyczerpał się, więc tylko wyciągnął żelazny pręt z kieszeni i pokazał szwabowi. O, tu już zrozumieli się obydwaj doskonale. Oficer, średniego wzrostu, szczupły eleganckim z monoklem w oku, uśmiechnął się:

— „No, oglądniemy sobie ich“

Przystąpił wraz z towarzyszącymi mu roslimi drabami z formacji SS do pierwszego z brzegu Żyda. Los chce, że jest to mały grubas, oddycha ciężko zrzuciwszy z siebie niebywały ciężar, ugniatający mu ramiona. Niemiec bierze łaskę z rąk policjanta; podnosi ją — i opuszcza nagle.

— „Nein, der kommt mit!“

Grubas rozgląda się trwoźnie dookoła i idzie na prawą stronę, czeka. W danej chwili dziękuje Bogu, że nie stoi razem z innymi w szeregu, bo tam szturmowcy zabrali się do masakry. Biją pięściami po twarzy, z upodobaniem kopią mężczyznę w podbrzusze, aż ci zwijają się w bólu; domorośli faszyci nie pozostają w tyle. A krzyczeńie nie wolno! Splywa krew z rozbitej twarzy — milcz, jęczeć nie śmiesz; nieprawdą jest przecie, że kulturalni ludzie zachodu katuja człowieka!

Oficer pieni się, wyladując wściekłość z powodu samego widoku znaczonych gwiazdami pod-ludzi. Później ruchem ręki powstrzymuje swoich; okrwawieni rozbici ludzie ustawiają się czwórkami:

„Do roboty — marsz!” Zaprowadzili ich naganiacze do wielkich skrzyń stojących na podwórzu. Skrzynie z daleka już czyniły wrażenie ciężkich, masywnych, a przy podniesieniu okazały się ciężarami nie do wiary. Wyrostki każą je podnosić i wnieść do szopy, oddalonej o jakie 150 metrów. W skrzyniach leżą karabiny i amunicja. Ile też taka skrzynia może ważyć? Czwórkami wzięli się do roboty. Trzeszczą kości, grzbiet boli nieznośnie przy pierwszym ruchu, kark nabrzmiwa, po kilku krokach żyły na szyi napinają się tak, że zda się za chwilę pękają.

„He-ej, ró-óh!” idzie okrzyk. Palce nie wytrzymują ciężaru, więc cała dłoń próbuje chwycić spód skrzyni; pochylili się całym ciałem i nie bacząc na pot, który twarze zalewa, niosą. Krok za krokiem, dwóch z tyłu dwóch za przód skrzyni ujęło, krok za krokiem. A za nimi wściekle nawoływanie Niemca:

„Co? — czterech? — trzech starczy, przekłeci maruderzy!” — i Michał, który jest akurat w tylnej dwójce tych, którzy pierwszą skrzynię nosili, dostaje pięścią w tył głowy. Mgła zasłania oczy; Michał podnosi na chwilę rękę, by otrzeć krew — i skrzynia spada na nogę kalecząc ją boleśnie. Jego towarzysz wskoczył w porę, ale jakże mógł Michał Sternberg w porę cofnąć nogę, gdy myśli jego zajęte były akurat rozważaniem, czy pejoratywna rola przyrostka „awy” w językach słowiańskich... No, powiedzcie, czyż to nie było cenniejsze, niż doczesne zmartwienia, niż krzyki tego głupawego Niemca? Taki był już Michał Sternberg.

Kulejącego, ntykającego robotnika nie trzeba. Sternberg dostaje raz jeszcze, tym razem od jednego z łapaczy, pięścią w twarz i odchodzi do innej roboty. A ci przy skrzyniach zostają; trzech ich teraz jedną skrzynię nosi. Bóg jeden chyba wie, jak donieśli skrzynię za pierwszym razem, Gdyby można było tylko za coś uchwycić, bo tak nie sposób na powierzchni dłoni utrzymać niebывały ciężar! Paznokcie dłoni zdzierają się i skrzynie, zanim dojdą do szopy, umazane są krwią. I krwawe ślady znaczą całą cierniową drogę, krew wsiąka w ziemię kropla po kropki. A naganiacze nie żałują pięści, ani butów, ani wyzwisk. Michał, odchodząc na inną „placówkę”, unosi z sobą na siatkówkach oczu obraz, który odbiegł daleko od jego pojęcia świata i ludzi.

Walili się w grzyzy młode, krusze, na lodzie pobudowane zamki, podcięte skrzydła osiadały w grząskim bagnie człowieka upodlenia; Michał Sternberg tracił grunt pod nogami. Rozbity, okrwawio-

ny włókł się na drugi koniec podwórza. Cały obszerny dziedziniec zapelniony był ludźmi. Żydzi, Polacy, Rosjanie pracowali przy wyładowywaniu pak, przenoszeniu ciężarów, sprzątaniu — a wszędzie przy akompaniamencie wzwisk, przy wtórze razów, pałką czy kolbą zadawanych. Potworzyły się grupy szturmowców, obchodzące po kolei wszystkich robotników; wizyta trwała krótko, ale długo po niej leżeli pobici do nieprzytomności ludzie: odrzucano ich na bok, by nie przeszkadzali w pracy i leżeli na skwarze słonecznym, póki nowe uderzenie nie przywróciło ich do przytomności. I zawsze w każdej grupie padało sakramentalne: „Der kommt mit“ — człowiek odchodził, by nie wrócić więcej. Splawiano ich niedaleko, za ogrodzeniem; stawiano pod wał, usypany z kamieni i jeden strzał likwidował życie ludzkie. Niekiedy kończyło się na przestradchu, szturmowiec zmierzył się, strzelił raz i drugi, aż odłamki kamieni odlatywały lecz do człowieka nie mierzył: nacieszył się jego zwierzęcym strachem i puszczał wolno: „Zur Arbeit — marsch“...

— „zur Arbeit — marsch!“ Michal pracuje teraz przy czyszczeniu podwórza, które zaśmiecone słomą, nawozem odłamkami szkła, drewnem wygląda jak pobojowisko. Trzeba je uprzątnąć. Ale nie przy pomocy mioteł i innych narzędzi — o, nie! rękoma! Tepe, bezmyślne twarze naganiaczy wyrażały radość i zadowolenie, gdy ludzie w rękach wynosili cuchnący nawóz, krwawiąc sobie palce o odłamki szkła, obficie tkwiące w słomie. A później wpadli na genialny pomysł: kazali rozebrać bluzy i koszule i w nich nosić śmiecie. I nabierało się pełne ręce cuchnącego nawozu, kładło do koszuli i znosiło na jedno miejsce. W drodze „policjanci“ musowo wołali jednego, drugiego: „Żyde!“ — Człowiek stawał na chwilę:

— „Co jest?“

Dalszy przebieg rozmowy był zawsze taki sam.

„Co? ty...“ — tu następował stek epitetów — „do mnie mówi się prosię“ — i cała zawartość koszuli znajdowała się po chwili na głowie żyda. Zresztą precedensu nie szukali, bili, szykanowali, wyzywali przez cały czas roboty. Cuchnący, obdarci robotnicy, do pasa nadzy pracowali jak w koszmarnym śnie. Ręce grzebały się w błocie i brudzie, nabierały, odnosiły — ciała szły za nimi, wracały, — ręce nabierały, odnosiły — i znów — i znów; oglupiająca, upodlająca praca wlokła się i przeciągała.

Michal wyprostował na chwilę obolały grzbiet. Młoda, prawie dziecinna twarz ociekała potem; brudny i obdarty jak inni, wyglądał oplakanie, gdy tak stał znużony i wyczekujący końca tego przekłętogo, podłego dnia.

„Marsz!“ — z tyłu dobiega głośny okrzyk — dozorczy pilnują rabów; więc znów trzeba schylić się i podnosić, podnosić, odnosić...

Obok stajen końskich pozostało do uprzątnięcia jeszcze kilka obfitych „złóż” nawozu, drzewa i słomy. Michał rozgrzebuje słomę, by nabrać do bluzy, jedynej zresztą jaką posiada — i nagle wzrok jego pada na czerwony grzbiet książki jakiejś czy pudełka. Pochylił się — to książka; wkleśłym drukiem złoci się tytułowa okładka: Schiller-Gedichte. Poezje Schillera! Michał przykłęka, otrzepuje i wyciera książkę rękawem bluzy. Na pewno żołnierz wyrzucił z plecaka lub zarzucił się przy czyszczeniu koszar. Prawie z tkliwością oczyszcza Michał książkę. „Jak kwiat na bagnie” — myśli. Zaczyna wertować kartki. Czuje, jak zwolna ogarnia go nieprzewyciężone zmęczenie, więc osuwa się na kolana. Dookoła panuje cisza. Michał jest sam. Tylko z daleka dobiegają odgłosy wyzwisk, stłumione jęki, gdzieś huknął strzał. Michał siedzi na ziemi, nie zdolny już do walki ze zmężeniem. Bola go ramiona, całe ciało piecze niemiłosiernie, ręk w górę podnieść nie może, są jak kamienie. Głowa płonie; Michał ostatkiem sił odgarnia na bok słomę i wyprostowuje nogi. Powoli obraca karty książki. Dobrze znane wiersze budzą w nim radosne prawie, krzepiące uczucie piękna. Znika na chwilę wszystko. Nie słyszy już krzyku, nie odczuwa zmęczenia, wszystko w nim żyje teraz umiłowaniem słowa. Książka, którą tak często w gimnazjum kładł pod poduszkę, która była jedną z składowych części jego wyznania wiary — wiedzy, teraz stała się symbolem powrotu do dawnego życia. A jednak to wszystko jest przejęściowe, jednak ludzie nie są źli, nie mogą być źli — myśli. Z kartek zbioru płynie niezmiennie wielka prawda życia — miłość, co jest i ceną życia i jego umiłowaniem i dobrocią i wcieleniem Piękna.

Szeptem najprzód zaczyna Michał czytać. Odżywają na stronkach zagubionej książki ludzie i czasy. Opada patyna ze starożytności, odżywa średniowiecze z jego krasą wspaniałą, średniowiecze bez stosów inkwizycji — czasy nowe szturmem zdobywają niezdo-
byte — zda się — bastjony reakcji.

...Oto moc poezji każe żórawiom przelecieć lądy, by pomścić śmierć poety. „O patrz, patrz — żórawie Ibikusa”. — Mordercy w strachu przeogromnym widzą nad głowami sznur żórawi — teraz Erynie dokonać mogą zemsty... O kilkanaście kroków od tego miejsca niema morderców, są tylko ci dwaj bladzi, przerażeni Grecy z odległej czasem krainy igrzysk.

...Znika we mgle ląd — Nad brzegiem morza dumny król ofiarowuje rękę córki śmiałkowi, który z głębin przyniesie puhar złoty. Czyż nie ma takiego, co by poważił się z bogami walczyć o cenę taką?... — A w głębinach niedosiężnych morze wrze i huczy i szumi, jakby się ogień i woda w walce żywiołów za lby wzięły. Pogodzić je może ofiara ludzkiego życia: giemnek je daje w darze.

W walce śmiertelnej więcej żyć ludzkich pada — gdy płomień wielkiej rewolucji przepala zmurzałe już ogrodzenie wieków i wyrwę czyni, przez którą wejdzie w ciężkim zmudnym, ale triumfalnym pochodzie nowy czas, wtedy śmierć włada, drogę torując życiu. Michał czyta cudowny „Dzwon“ Schillera, co odlany już dzwoni, bije. Studentowi wydaje się, że wieki całe przeżył, pochylony nad tomem poezji. Chce uszczknąć jeszcze trochę z kwiatu poezji, wertuje dalej, by się nacieszyć, by w siebie wchłonąć wszystko. Już kilka miesięcy nie miał zbioru w rękach, więc czyta żarliwie.

Balsamem dla skolatanej, zbolalej duszy staje się wiersz „Rezygnacja. Bogowie chyba wyczarowali na lutni weimarskiego księcia poezji dźwięki słów, które chłopiec wchłania w siebie:

„...I jam był w Arkadii urodzon
i przyjaźń nad kołyskę natura mi nosła
i jam był w Arkadii urodzon
— lecz miast przyjaźni jeno lzy przyniosła.
...Maj życia raz kwitnie i nie więcej
mnie on już dawno przekwitł...

Michał odkłada książkę. Oczywiście ma wilgotne, nigdy jeszcze nie doznał takich wzruszeń. Daleko gdzieś odbiegły niedawno widziane obrazy, znikło wszystko, zostaje świat myśli, wielki i bogaty, piękny świat.

I jemu, Michałowi raz tylko kwitł maj życia; czy przekwitł już — czy wróci kiedyś? Staje przed oczyma młodość, nie roześmiana, rozedrgana życiem młodość rówieśników, ale ciężka młodość biedaka z wiecznymi troskami, wiecznym uganianiem się po lekcjach.

Nieznosnie dokucza troska o rodziców. Ojciec zapracowujący się na śmierć, by synowi zapewnić dalsze kształcenie się, matka... matka — lzy spływają po twarzy Michała. Zawsze taka pracowita, kochana matka. Tak się cieszyli oboje postępami syna, jego żądzą wiedzy, co oświetlała jak promień, ich biedne, szarowane życie. Gdy przyjeżdżał, słuchali uważnie opowieści o dalekim mieście, o nauce, ba nawet kiwali poważnie głowami, gdy się ich Michaś „rozpedził“ i wplótł w opowieść trochę przedrostków i przyrostków językowych, trochę teorii krtaniowego „r“ i potrosze z Goethego i Byrona...

Nie, życie Michała nie było ani trochę odmienne od tych znanych z powieści schematów. Takie same biedne, takie — własne życie.

„...Mnie on już dawno przekwitł...“ Jak długo można będzie żyć przeżyć w tych warunkach? Czy maj życia przekwitł już na zawsze? i czy już nigdy, nigdy nie będzie można sięgnąć znów w ławce i słuchać wykładów — i wchłaniać w siebie mądrość życia — i żyć?... Michałowi nasuwa się nieprzeparcie myśl, że jest oto jak sienkiewiczowski latarnik, któremu książka otrzymana po długich latach przy-

pomina ojczyznę, jak świetlny złoty promień. Michał Sternberg nie ma innej ojczyzny. Ojczyzną Michała są jego książki; jest jego świat wewnętrzny, jego przeżywania, jego myśli. Ojczyzna Michała jest wielka. Leży nad brzegami Tybru, rozciąga się daleko za Partenonem i na słodkich oliwkowych wzgórzach Aten, przebiega przez kraje średniowiecznych turniejów, złoci się blaskiem białej broni rewolucjonistów w krajach Europy nowszych wieków, rozciąga się w całym tym cudownym świecie Michałowych książek. Latarnik... Michał uśmiecha się — jeszcze teraz brak przebudzenia latarnika.

I przebudzenie przychodzi. Zauważył jeszcze Michał usłyszał kroki, otrzymał chrzest przebudzenia. Od dłuższej chwili niemiec stał za nim. Officer — sam w swoim majestacie — zjawił się na inspekcję i traf chciał, że akurat napotkał Żyda nie pracującego. Wściekłość odebrała mu mowę. Cios w głowę ogłuszył Michała. Po jakiejś chwili dopiero wstał, by cios jeszcze jeden otrzymać. I znów — i znów. Niemiec teraz dopiero spostrzegł książkę. Nie mogąc opanować wściekłości kopie ją.

— „Przeklęty Żydzie, ty śmiesz czytać niemieckie książki?“

I nie panując zupełnie nad sobą kopnął raz jeszcze książkę. Tom poezji Schillera poleciał znów w śmiecie. Niemiec zreflektował się.

— „Marsz!“

Michał zataczając się jak pijany idzie przed siebie, wyczerpany do ostatka, zbity, skopany, na wpół tylko przytomny.

— „Maj życia raz kwitnie i nie więcej!“ —

Michał Sternberg wraca do robotników, którzy formują się właśnie do odejścia. Żalony przedstawiają widok. Śmiertelnie znużeni, brudni, obszarpani stoją apatyczni i bezsilni. Kilku brakuje; ci już nie wrócą. Sternberg dostaje teraz innego kompana; starego siwego towarzysza niedoli niema. Wyrostki wyprowadzają Żydów za bramę. Za nimi wychodzą pojedynczo Polacy i ruscy. Łapacze nauczyli się nowego niemieckiego słowa, więc teraz krzyczą: „Weg!“ i kijami popędzają kilka kroków; Żydzi już są wolni, mogą pójść sobie. Rozchodzą się w różnych kierunkach, ledwie powłócząc nogami.

Michał idzie do domu. Wraca do głodu, do beznadziei życia. Ale — o dziwo! — oczy chłopca znów lśnią dawnym blaskiem, Michał znów jest spokojny. W domu czeka niedokończona rozprawka o Fauście, znajdzie się i trochę kartofli, więc narazie dobrze. Maj życia jeszcze nie przekwitł. Wielokrotnym światłem jarzy się droga i cel — Wiedza. Znów wraca wspomnienie „Latarnika“.

„Mnie nawet i książkę odebrano“ — myśli Michał. Ale i on wraca do ojczyzny, do swojej Ojczyzny. I — jeszcze będzie można nią odetchnąć.

11

Przechodzą znaczeni ludzie, lekliwie, trwoźnie. Jeszcze nie wiedzą, że za kilka miesięcy oszaleje krwawy tyran i mordować będzie tysiącami; są tylko pełni przecucia. Ale oczy ich szukają jeszcze rady, życzliwości i pociechy w oczach innych przechodniów. Spotykają je w jasnym oczach Michała Sternberga:
„Miejcie nadzieję! Zwycięży jednak — Dobro!”